

MARK BILLINGHAM

PODPALONA



MARK BILLINGHAM

PODPALONA



Podpalona

Podpalona

© Mark Billingham 2004

© Copyright to the Polish Edition: Jentas A/S 2021

Tytuł oryginału: The Burning Girl

Przełożył Robert P. Lipski

ISBN: 978-87-428-6006-9

Tom Thorne

1. Kokon
2. Mięczak
3. Ofiary
4. Podpalona
5. Zapomniani
6. Urowadzony
7. Mściciel
8. Naśladowca
9. Pułapka
10. Presja
11. Perswazja
12. Kości
13. Czas śmierci

Dla Hilary Hale

*Teraz już wiem, co czuła Joanna d’Arc,
Teraz już wiem, co czuła Joanna d’Arc,
Gdy płomienie sięgnęły jej rzymskiego nosa
I jej walkman zaczął się topić...*

„Bigmouth Strikes Again” –
The Smiths

Prolog

PONAD POŁOWA WSZYSTKICH NOWYCH PRZEDSIĘWZIĘĆ BIZNESOWYCH UPADA W CIĄGU PIERWSZYCH

TRZECH LAT SWEGO ISTNIENIA!

NIE ZOSTAŃ JEDNYM Z TYCH PECHOWCÓW!

DROGI LOKALNY BIZNESMENIE

Jako że sami jesteście ludźmi interesu, aż za dobrze znamy ryzyko, jakie wiąże się z nowymi przedsięwzięciami. Wiemy przy tym, że aby ugruntować swoją pozycję, musisz przede wszystkim odnieść sukces. Możemy sprawić, że tak się stanie.

Jesteśmy firmą specjalizującą się w ochronie drobnych przedsiębiorców. Potrafimy zająć się wszystkim, abyś ty już nigdy nie musiał się o nic martwić. **GWARANTUJEMY** spokój ducha za rozsądną miesięczną premię.

Nasze stawki zaczynają się od 400 funtów za miesiąc, jeśli jednak z jakichś powodów wystąpiłyby tymczasowe trudności z uiszczeniem tej należności, płatności mogą zostać rozłożone na raty na dogodny procent do uzgodnienia. Możesz porównać nasze warunki z innymi, radzimy jednak, **BYŚ WCZEŚNIEJ POROZMAWIAŁ Z KTÓRYMŚ Z NASZYCH KLIENTÓW**. Bez wątpienia stwierdzisz, że nasze usługi odpowiadają ci najbardziej.

Nasza reputacja da ci pewność, że od chwili zawarcia umowy z nami będziesz mógł prowadzić swój sklepik, restaurację lub firmę spokojnie i bezpiecznie, ze świadomością, że w razie wystąpienia jakichkolwiek problemów, my rozwiążemy je za ciebie.

Można się z nami kontaktować przez **24 GODZINY NA DOBĘ**, numer

komórki poda ci jeszcze dziś jeden z naszych przedstawicieli.

**ZADZWOŃ JUŻ TERAZ, BY ZAPEWNIĆ SOBIE SPOKÓJ
DUCHA!**

LUTY

CENA CZŁOWIECZEŃSTWA

Później Carol Chamberlain przekona samą siebie, że tak naprawdę śniła o Jessice Clarke, kiedy odebrała pierwszy telefon. Dźwięk dzwoniącego aparatu wyrwał ją ze snu, oderwał od towarzyszących koszmarowi obrazów, odgłosów i woni. Rozmazany obraz biegnącej dziewczynki, barwne jęzory wspinające się po jej plecach, eksplodujące i rozwiewające się wokół jej szyi niczym złote i szkarłatne szaliki.

Czy sen był wyimaginowany, czy nie, zaczęła znów go przeżywać, kiedy tylko odłożyła słuchawkę. Siedziała rozdygotana na brzegu łóżka. Jack, który poruszył się przez chwilę, leżał obok niej, martwy dla całego świata.

A ona znów ujrzała to wszystko.

Kolory były tak jaskrawe, dźwięk tak wyrazisty i silny jak tamtego ranka, przed dwudziestoma laty. Choć Carol przy tym nie było, nie widziała tego na własne oczy, rozmawiała z naocznymi świadkami owego zdarzenia. Teraz wierzyła, że kiedy powtarzała wszystko w myślach, tak jak to sobie wyobrażała, widziała dokładnie, jak było naprawdę...

Dźwięk – szelest męskich stóp na trawie, kiedy wspinał się po stoku, atonalnie nucąc pod nosem jakąś melodyjkę, którą zagłuszały hałasy dochodzące od strony boiska. Pośród tych krzyków i harmidru słyszeć było gwar mieszających się ze sobą głosów, plotkujących, gawędzących i rozmawiających o czymś zawzięcie, kakofonia dźwięków spływała w dół zbocza, w kierunku głównej drogi.

Mężczyzna wsłuchiwał się w nie, podchodząc bliżej, nie mogąc wychwycić nic konkretnego. Próbował zorientować się, kto jest na boisku, a kogo zabrakło. Słyszeć też było inny dźwięk,

brzęczenie kosiarki dochodzące od drugiej strony szkoły, gdzie pracował cały zespół ogrodników. Mieli na sobie oliwkowozielone kombinezony, podobnie jak on. Tyle że na jego kombinezonie brakowało naszywki z firmowym logo.

Z rękami w kieszeniach i czapeczką mocno naciągniętą na głowę obszedł cały obwód boiska, dochodząc do miejsca, gdzie była dziewczynka i jej koleżanki. Kilka z nich opierało się plecami o drucianą siatkę. Kołysały się odprężone, napierając lekko na elastyczne druty. Mężczyzna wyciągnął zza pasa sekator i przykucnął niewiele ponad metr od dziewczynek przy siatce. Jedną ręką zaczął przycinać chwasty rosnące u podstawy betonowego słupka podtrzymującego siatkę. Drugą sięgnął do kieszeni po puszkę z płynem do zapalniczek.

Zawsze najbardziej martwiła go charakterystyczna woń. Puszka była pełna – sam o to zadbał – i nie usłyszał nawet najcichszego syku czy bulgotu, kiedy ją nacisnął, a przez plastikowy dzióbek wytrysnęła strużka łatwopalnej cieczy, przelatując przez jedno z ogniw siatki. Martwił się, czy nikt nie poczuje tej charakterystycznej woni, kiedy łatwopalna substancja zacznie wsiąkać w materiał niebieskiej, sięgającej do kolan spódniczki, gdy wiatr zacznie roznosić ten zapach, i czy nie wzbudzi on podejrzeń dziewczynki lub którejś z jej koleżanek.

Nie musiał się martwić. Zanim odłożył puszkę na trawę i sięgnął po zapalniczkę, zużył co najmniej połowę zawartości pojemnika, a dziewczynki były zbyt zajęte plotkowaniem, by zwrócić na cokolwiek uwagę. Zdziwił się, że spódniczka dziewczynki tliła się przez dobrych piętnaście sekund albo nawet dłużej, nim w końcu zajęła się ogniem. Zdziwiło go również, że to nie ta dziewczynka zaczęła krzyczeć jako pierwsza...

Jessica tylko jednym uchem słuchała opowieści Ali o imprezie, na której była, i historyjki Mandy o najnowszej sprzeczce z jej chłopakiem. Wciąż myślała o kretyńskiej kłótni z mamą, która

ciągnęła się przez cały weekend, i o wykładzie, jaki wygłosił jej ojciec, zanim wyszedł dziś rano do pracy. Kiedy Ali zrobiła minę, a pozostałe wybuchnęły śmiechem, Jessica przyłączyła się do nich, choć właściwie nie wiedziała, co było powodem ich rozbawienia.

W pierwszej chwili poczuła jakby lekkie szarpnięcie, a potem łaskotanie, i schyliła się, by wygładzić tył spódniczki. Wtedy właśnie ujrzała, jak wyraz twarzy Mandy zmienia się, jej usta się rozchylają, ale nie usłyszała dobywającego się z nich dźwięku. Jessica czuła już pierwsze fale dojmującego bólu przeszywające jej nogi, kiedy kołyszącym krokiem odsunęła się od siatki i zaczęła biec...

Wiele lat później Carol Chamberlain wyobrażała sobie panikę i ból dziewczynki. Były równie wstrząsające jak trudne do zniesienia wydarzenia rozgrywające się w jej wyobraźni.

Przeraźliwie szybko. I upiornie wolno...

Godzinę przed świtem w sypialni wciąż było ciemno, ale jej oczy rozjaśnił gorejący nienaturalny blask. Oczyma duszy, uzbrojona w wiedzę o tamtych wydarzeniach, była wszędzie, widząc i słysząc wszystko.

Widziała rozdziawione usta dziewcząt jak usta starych kobiet, oczy wielkie i szkliste, gdy gnały na łeb na szyję, aby jak najdalej od płomieni. Aby jak najdalej od ich koleżanki.

Widziała Jessicę biegnącą zygzakami przez boisko i rozpaczliwie wymachującą rękami. Słyszała krzyki, tupot butów uderzających o asfalt, skwierczenie palących się włosów. Patrzyła, jak coś, co było dzieckiem, a co wyglądało jak ciśniecia na ziemię petarda, wije się po boisku. Coraz wolniej i wolniej. Skwiercząc. Wypalając się...

I wtedy ujrzała twarz tego mężczyzny, twarz Rookera, gdy odwrócił się i zbiegł po stoku. Jego nogi poruszały się coraz

szybciej i szybciej. Zbiegając po zboczu do stojącego poniżej samochodu, raz omal się nie przewrócił.

Carol Chamberlain spojrzała na aparat. Pomyślała o anonimowym telefonie, który odebrała przed dwudziestoma minutami. I o krótkiej wiadomości od mężczyzny, który w żadnym razie nie mógł być Gordonem Rookerem.

– To ja ją podpaliłem...

1

Pociąg zatrzymał się gdzieś pomiędzy Golders Green a Hampstead, kiedy do wagonu weszła kobieta.

Minęła właśnie siódma wieczorem. Był poniedziałek. Pasażerami byli londyńczycy z różnych dzielnic wracający późno do domu lub zamierzający zabawić się trochę w West Endzie. Garnitury i egzemplarze „Evening Standards”. Służbowe dokumenty i thriller w broszurowym wydaniu z oślimi uszami. Cały przekrój społeczności, od sportowych dresów przez szyk oxfamski po Ciro Citterio. Kołyszące się głowy, stukające lekko o szyby, zwieszające się na piersi uśpionych albo kiwające się w rytm muzyki Coldplay, Craiga Davida czy DJ Shadowa.

Bez żadnego wyraźnego powodu poza tym, że pociąg należał do Linii Północnej, cały skład nagle gwałtownie zadygotał i kilka sekund później znów się zatrzymał. Ludzie wpatrywali się w czubki butów swoich sąsiadów z przeciwka albo czytali ogłoszenia nad ich głowami. Cisza, jeśli nie liczyć dźwięków płynących ze słuchawek, podkreślała brak kontaktu z innymi.

Na jednym końcu wagonu siedziało razem dwóch młodych czarnoskórych. Jeden wyglądał na piętnaście, szesnaście lat, ale zapewne był młodszy. Nosił czerwoną bandanę, przydużą amerykańską bluzę od dresu i workowate džinsy. Był cały obwieszony łańcuchami, na palcach miał pierścienie. Obok niego siedział drugi, drobniejszy chłopak, być może jego młodszy brat, ubrany dokładnie tak samo.

Mężczyźnie siedzącemu naprzeciw nich ten ubiór, ta biżuteria i poza wydawały się śmieszne. Zwłaszcza u dzieciaka, który podeszwami drogich markowych trampek nie sięgał nawet

podłogi. Mężczyzna był krępy, po czterdziestce, ubrany w wytartą skórzaną kurtkę. Odwrócił wzrok, kiedy starszy chłopiec pochwycił jego spojrzenie, i powiódł dłonią po włosach, które z jednej strony były bardziej posiwiałe niż z drugiej. Tom Thorne odniósł wrażenie, że ci dwaj chłopcy całe swoje kieszonkowe przepuszczają w sklepie o nazwie „Mały gangsta”.

Po chwili do wagonu weszła kobieta; atmosfera nagle się zmieniła. Obojętność i wyniosłość przerodziły się w kompletne odcięcie się od wszystkiego. Typowa angielska postawa, *in extremis*...

Thorne patrzył na nią dostatecznie długo, by zauważyć chustkę, grube ciemne brwi i małe dziecko, które trzymała na ręku. Potem odwrócił wzrok. Nie ukrył się za gazetą jak wielu wokół niego, ale ze wstydem musiał przyznać, że tylko dlatego, iż nie miał żadnej.

Wlepił wzrok w swoje buty, ale zdawał sobie sprawę z wyciągniętej w jego stronę ręki, kiedy kobieta przystanęła tuż obok. Widział styropianowy kubek z nadłamanym albo może obgryzionym brzegiem. Słyszał, jak kobieta mówi coś półgłosem w języku, którego nie rozumiał i nie musiał rozumieć.

Potrząsnęła kubkiem przed jego twarzą, a Thorne nie usłyszał brzęku monet.

Potem poszło już rutynowo: wyciągnięcie ręki z kubkiem, rzucone cicho pytanie, zignorowane błaganie i przejście do następnej osoby. Thorne uniósł wzrok, gdy przeszła w głąb wagonu, czując ból wzbierający w trzewiach na widok jej zgiętych pleców okrytych czarnym swetrem i nieruchomego ramienia, na którym trzymała dziecko. Odwrócił się, kiedy ból przerodził się w dojmujące ukłucie smutku i żalu na myśl o niej i o samym sobie.

Odwrócił się w momencie, gdy starszy chłopiec nachylał się do

brata i cmokając przez zęby, syczał zjadliwie:

– Nie znoszę całego tego tałatajstwa...

Thorne wciąż był przygnębiony dwadzieścia minut później, kiedy wyszedł z tunelu metra na Kentish Town Road.

Bynajmniej nie czuł się lepiej, kopniakiem zamykając za sobą drzwi do mieszkania. Ale jego minorowy nastrój miał wkrótce minąć.

Z salonu dobiegł go podniesiony głos, pełen oburzenia i wyrzutów, zagłuszający dźwięki z telewizora:

– O której to się przychodzi do domu?

Thorne odstawił reklamówkę, przeszedł przez krótki hol i odwrócił się, by ujrzeć rozciągniętego na kanapie Phila Hendricksa. Patolog był wysoki, chudy jak tyka i miał trzydzieści trzy lata, o dziesięć mniej od Thorne'a. Jak zawsze był ubrany na czarno, w dżinsy i sweter w serek, a jego twarz zdobiła olśniewająca kolekcja ćwieków i kolczyków różnego kształtu i rozmiarów. Thorne widział tylko te, które Hendricks nosił w widocznych miejscach. Były jeszcze inne, o tamtych jednak wolał wiedzieć jak najmniej.

Hendricks uniósł w dłoni pilota i zgasił telewizor.

– Kolacja nam wystygnie.

Patolog miał szorstki, męski sposób bycia, toteż jego żarcik wypowiedziany zniewieściałym tonem z manchesterskim akcentem natychmiast wywołał na twarzy Thorne'a szeroki uśmiech.

– Jasne – mruknął. – Sęk w tym, że ty nawet nie umiesz ugotować jajka.

– No dobrze, no to kolacja wystygłaby, gdyby była gotowa.

– A co właściwie chcemy dziś zjeść?

Hendricks opuścił stopy na podłogę i przesunął dłonią w przód i w tył po gładko ogolonej czaszce.

– Menu jest przy telefonie. – Machnął ręką w stronę

niewielkiego stolika w rogu. – Dla mnie to co zwykle plus dodatkowe grzybowe *bhaji*.

Thorne zdjął kurtkę i wyniósł ją do holu. Wrócił, przykręcił ogrzewanie i odniósł brudny kubek do kuchni. Następnie sięgnął po stojące przy kanapie motocyklowe buty Hendricksa i także wystawił je do holu.

Następnie podszedł do telefonu i zadzwonił do Bengal Lancera...

Hendricks sypiał na kanapie u Thorne'a od świąt, a raczej tuż po nich, kiedy ilość grzyba nagromadzonego w jego mieszkaniu osiągnęła niepokojące rozmiary. Budowlańcy i specjaliści od usuwania wywołanych przez wilgoć grzybów mieli uporać się z tym problemem nie dalej niż w tydzień, ale ich optymistyczne prognozy okazały się mocno przesadzone. Thorne wciąż nie wiedział, dlaczego Hendricks nie wprowadził się do swego obecnego partnera Brendana, bo przecież spędzał u niego kilka nocy w tygodniu. Domyślał się, że w tak burzliwym związku, gdy tamci to rozstawali się, to znowu schodzili, nawet tymczasowa przeprowadzka mogła okazać się nieco ryzykowna.

Jemu i Hendricksowi było trochę ciasno w małym mieszkanku Thorne'a, ale inspektor musiał przyznać, że lubi towarzystwo patologa. Rozmawiali otwarcie i szczerze o potencjalnych zwycięstwach Spurs i Arsenalu. Kłócili się o gusty muzyczne lubującego się w country Thorne'a. Sprzeczek o nagłe, nietypowe jak na Thorne'a, zamięłowanie do schłodności.

Kiedy czekali, aż przyniosą im jedzenie, Thorne włączył album Lucindy Williams. On i Hendricks sprzeczekli się przez chwilę na ten temat, po czym zaczęli rozmawiać o innych sprawach...

– Mickey Clayton zginął wskutek ran postrzałowych głowy – rzekł Hendricks.

Thorne spojrzał na niego ponad krawędzią puszek z piwem.

– Domyślam się, że to nie była dla ciebie żadna rewelacja. Zwłaszcza że kiedy go znaleźliśmy, większość jego czaszki była rozmazana po ścianach.

Hendricks skrzywił się.

– Jutro po południu znajdziesz na biurku szczegółowy raport.

– Dzięki, Phil.

Thorne lubił się z nim napić, ale poza tym, że Hendricks był jego najbliższym przyjacielem, należał także do najlepszych patologów, z jakimi miał okazję pracować. W przeciwieństwie do kontrowersyjnego wyglądu, pomimo sarkastycznego usposobienia i dość marnie opowiadanych dowcipów nikt nie potrafił lepiej od niego zrozumieć nieboszczyków. Hendricks słuchał, gdy szeptali mu swoje sekrety, i przekładał je z tajnego języka prosektorium.

– Znalazłeś kulę? – spytał Thorne.

Zabójca używał broni kalibru 9 mm. To, co pozostało z kul, znaleziono w pobliżu poprzednich ofiar lub wśród tego, co zostało z ich czaszek...

– Nie potrzeba analizy porównawczej, by stwierdzić, że to ten sam zabójca.

– X?

To było oczywiste już poprzedniego ranka, kiedy odnaleziono zwłoki. Nylonowa koszula zadarta pod samą szyję, krew wypływająca z dwóch głębokich, przecinających się ukośnie cięć, od lewego barku do prawego biodra i vice versa.

– Wciąż jednak nie mam pewności co do noża. Sądziłem, że to mógł być nóż Stanleya, ale równie dobrze może być też maczeta. – Thorne pokiwał głową. Maczeta była ulubioną bronią wielu zabójców z gangów. – Może to Yardies albo Yakuza...

– Ktokolwiek mu płaci, jest zadowolony z jego usług. Facet dość szybko strzela swoim ofiarom w głowę, ale podejrzewam, że

jeżeli chodzi o krojenie, robi im to, kiedy jeszcze żyją.

Człowiek odpowiedzialny za śmierć Mickeya Claytona i wcześniej trzech innych mężczyzn w ciągu ostatnich sześciu tygodni nie przypominał żadnego płatnego zabójcy, z jakim Thorne miał okazję się zetknąć czy o jakim słyszał. Dla tych ludzi, mężczyzn gotowych zabić za cenę od kilku tysięcy funtów wzwyż, anonimowość była wszystkim. Ten lubił zostawiać swój znak.

– X jak określenie miejsca – rzekł Thorne.

– Albo jak skreślenie kogoś. – Hendricks dopił piwo. – To teraz mów, co u ciebie. Jak tam w biurze, złotko?

Thorne stęknął, wstając. Wziął od Hendricksa pustą puszkę i poszedł do kuchni po nową, pełną. Wpatrując się bez celu w lodówkę, na próżno usiłował przypomnieć sobie ostatni przyjemny dzień w biurze...

Jego zespół, którego Hendricks był cywilnym członkiem, w Grupie do spraw Przestępstw Szczególnych (Zachodniej) przydzielono jako wsparcie Jednostce Specjalnej SO7 – Grupie do Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej. Wkrótce okazało się, że grupa ma jedynie huczną nazwę, co do reszty można było mieć pewne wątpliwości. SO7 cierpiała na wieczny niedobór funduszy, a przynajmniej wciąż się na to skarżyła. Na południe od rzeki trwała wielka wojna o wpływy i terytorium pomiędzy dwiema starymi rodzinnymi firmami, doszło również do eskalacji sporów w kręgach Triad, co doprowadziło do trzech strzelanin w jednym tygodniu i potężnej bijatyki z użyciem ostrych narzędzi na Gerrard Street. Tak czy owak, Thorne przypuszczał, że wysłano ich tam tylko po to, by osłaniać innym tyłki.

Nic na tym nie zyska. Gdyby nawet kogoś aresztował, zaszczyty z tego tytułu spłynęłyby na innych, a poza tym wcale nie miał ochoty ścigać osoby lub osób odpowiedzialnych za

sprzątnięcie szumowin w rodzaju Mickeya Claytona.

Gangsterskie egzekucje, których Clayton był czwartą ofiarą zamordowaną przez tajemniczego X, stanowiły akcję odwetową jednej z największych gangsterskich rodzin z północnego Londynu, ale prawda była taka, że Jednostka Specjalna nie miała pojęcia, kto był ich wykonawcą. Sprawdzono wszystkich potencjalnych rywali i jednego po drugim oczyszczono z zarzutów. Informatorzy, z których usług zwykle korzystano, nie potrafili dać im żadnego cynku mimo nacisków i obietnicy, że mogą sporo na tym zarobić. Wkrótce stało się jasne, że cała ta wielka operacja ma na celu doprowadzenie do konfrontacji. Zadaniem Thorne'a i jego zespołu było ustalenie mocodawców. Odkrycie, kto opłacał zabójcę, określonego wkrótce mianem „X-Mana”, aby zniszczyć rodzinę Ryanów.

– Sam utrudnia sobie życie, no nie? – rzucił jeszcze z kuchni Thorne, kontynuując, gdy przyniósł piwo do pokoju. – Ten X, ten jego podpis czy cokolwiek to jest, znacznie go ogranicza, zmniejsza możliwości. Nie może po prostu podjechać na motorze, aby sprzątnąć kolejne ofiary w aucie albo przy wejściu do pubu. Potrzebuje dużo czasu i miejsca.

Hendricks wziął od niego puszkę.

– Najwyraźniej wkłada w swoją pracę wiele wysiłku. Wszystko dokładnie planuje. Założę się, że jest cholernie drogi.

Thorne uznał, że Hendricks najprawdopodobniej ma rację.

– Ale to i tak względnie tani interes, jak się nad tym zastanowić. Mam na myśli zabicie kogoś. Dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć kawałków za sprzątnięcie kogoś. To dużo mniej niż faceci wystawiający kontrakty płacą za swoje dżipy i wypasione mercedesy.

– Ciekawe, na co mógłbym liczyć za parę setek? – spytał Hendricks. – W Westminsterze jest taki jeden pomocnik koronera, który nieźle zalażł mi za skórę.

Thorne zamyślił się przez chwilę.

– Chińskie poparzenie? – Nie pamiętał, aby śmiał się równie szczerze od dobrych paru dni.

– Czy to mogą być Yardies? – ciągnął Hendricks, kiedy już przestał się śmiać. – Albo Yakuza? Wiemy, że nasz zabójca nie jest Murzynem ani Japończykiem...

Świadek stwierdził, że widział zabójcę opuszczającego miejsce trzeciej zbrodni, i podał dość ogólny rysopis białego mężczyzny po trzydziestce. Świadek Marcus Moloney był „współpracownikiem” rodziny Ryanów i choć trudno by go określić mianem prawego obywatela, wydawał się dość pewny tego, co mówił.

– To nie takie proste – rzekł Thorne. – Mogło być proste dziesięć lat temu, kiedy każdy trzymał się swoich, ale teraz to się zmieniło i wolni strzelcy przyjmują każde możliwe zlecenie. Triady korzystają z usług Yardies. Yardies pracują dla Rosjan. W zeszłym roku gang Yakuza dostał za swoje, ponieważ rekrutował ludzi spoza własnych kręgów. Równie dobrze mogliby rozdawać formularze zgłoszeniowe: przyjmujemy wszystkich, Greków, Turków, Azjatów, bez różnicy...

Hendricks uśmiechnął się.

– Miło wiedzieć, że są jeszcze pracodawcy dający wszystkim swoim pracownikom równe szanse...

Thorne przytaknął i przez kilka następnych minut obaj nie odezwali się ani słowem. Thorne zamknął oczy i zaczął skubać kocią bródkę, którą zapuszczał od końca ubiegłego roku. Ta bródka tworzyła złudzenie linii żuchwy i zasłaniała bliznę po ranie od noża.

Wypukła linia ciągnąca się ukośnie od podbródka Thorne’a była jedyną widoczną pamiątką nocy sprzed pół roku, kiedy równocześnie błagał o życie i modlił się o szybką śmierć. Były jeszcze inne blizny, łatwiejsze do ukrycia, ale daleko bardziej

niepokojące. Thorne w ciemnościach mógł sięgnąć do swego wnętrza i dotykać ich, dopóki rany na dobre się nie pootwierały. Mógł wyobrazić sobie tworzące się strupy, krwistoczarne na tle delikatnego ciała. Kruchą powłokę, która zacznie się rozsypywać i odpadać pod dotykiem jego palców, a towarzyszący temu tępy ból będzie nakłaniać go, aby drażył te rany coraz głębiej...

Lucinda Williams śpiewała cicho o wszechogarniającym pożądaniu, jej głos, słodki i ostry zarazem, unosił się pośród dźwięków gitary akustycznej jak dym.

Thorne i Hendricks drgnęli gwałtownie, gdy zadzwonił telefon.
– Tom? – głos kobiety.

Thorne usiadł na fotelu z telefonem w dłoni. I celowo głośno, aby rozmówca go usłyszał, zawołał do Hendricksa:

– Chryste, to znowu ta stara wariatka, co wciąż do mnie wydzwania.

Hendricks uśmiechnął się i odkrzyknął:

– Powiedz jej, że nawet stąd czuję woń karmy dla kotów!

– No, Carol – rzekł Thorne – powiedz mi, co słyhać w bajecznym Worthing. Znów jakiś kot wlaźł na drzewo i nie mógł zejść, a może ktoś ukradł chodziki z pobliskiego domu starców?

Jego rozmówczyni nie miała ochoty na zwyczajowe przekomarzanie się.

– Muszę z tobą pomówić, Tom. Chcę, żebyś mnie wysłuchał...

Thorne zamienił się w słuch. Przyniesione z restauracji curry zdążyło ostygnąć, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi. Gdy tylko zaczęła mówić, zorientował się, że chodziło o coś poważnego.

Bądź co bądź, odkąd znał Carol Chamberlain, Thorne nigdy nie słyszał, żeby płakała.

2

– Zakładam, że zadzwoniłaś pod 1471...?

Uniosła brwi. Zupełnie jakby pytała, czy ma ją za kompletną idiotkę.

Thorne przeprasząco wzruszył ramionami.

Kiedy po raz pierwszy spotkał Carol Chamberlain, w ubiegłym roku, wziął ją za kłótliwą jędzę w średnim wieku, która ma zbyt wiele wolnego czasu, kłótliwą jędzę, która – jak omyłkowo sądził – była matką jednego z konstabli.

Wciąż mu tego nie wybaczyła.

Była pani nadinspektor Carol Chamberlain zjawiała się w biurze Thorne’a w parny lipcowy poranek, siedem miesięcy temu, i wywróciła do góry nogami śledztwo w sprawie sadystycznego gwałciciela i zabójcy. Była członkiem tak zwanego Wydziału Spraw Zamkniętych, grupy złożonej z dawnych funkcjonariuszy policji, emerytowanych, ale przywróconych do służby w celu rozwiązywania spraw nierozwikłanych. Chamberlain nie trzeba było długo przekonywać do powrotu. Po przepracowaniu trzydziestu lat została zmuszona do przejścia na emeryturę – w jej mniemaniu przedwcześnie – i w wieku pięćdziesięciu pięciu lat wciąż uważała, że ma jeszcze wiele do zaoferowania. Pierwsza sprawa, jaką jej przydzielono, pozwoliła na uzyskanie informacji, które doprowadziły do zmiany biegu śledztwa prowadzonego przez Thorne’a i, jak się później okazało, jego życia. Tę zamkniętą sprawę – obecnie znowu otwartą – szybko jej odebrano, ale Thorne nie zaprzestał utrzymywania z nią kontaktu i wkrótce on i Chamberlain się zaprzyjaźnili.

Thorne nie był pewien, co właściwie Carol Chamberlain

zyskiwała na kontaktach z nim, niemniej był gotów dzielić się tym z nią, czymkolwiek to było, w zamian za jej otwartość, dobre rady i umiejętność wykrywania wszelkiego fałszu, która najwyraźniej wyostrzała się z wiekiem.

Gdy teraz patrzył na nią, siedzącą naprzeciw niego przy stoliku, i wspominał pierwsze wrażenie, jakiego doznał na jej widok, zastanawiał się, jak mógł tak się pomylić...

Chamberlain uniosła w rękę brudną kremową kopertę, aby pokazać ją Thorne'owi, po czym odwróciła ją, wysypując popiół na stolik.

– To przyszło wczoraj rano.

Thorne wziął do ręki widelec i przez chwilę rozgarniał nim poczerńiałe skrawki materiału. Starał się nie dotknąć żadnego z nich gołymi rękami, choć właściwie nie wiedział czemu. Nie miał pewności, czy cokolwiek z tym zrobi. Kawałki rozsypywały się przy byle dotknięciu zębami widelca, ale jeden czy dwa fragmenty, jak zauważył, wciąż zachowały oryginalny niebieski kolor.

– Te zatrzymam.

Wziął do ręki menu i dolną krawędzią przesypał popioły na powrót do koperty.

Chamberlain pokiwała głową.

– To serża, jak podejrzewam. Albo gruba bawełna. Ten sam materiał, z jakiego zrobiona była spódnica Jessiki Clarke...

Thorne zastanawiał się nad jej słowami, nad tym, co zaczęła mu mówić ubiegłej nocy przez telefon. Niewiele pamiętał z tamtej sprawy, pomijając ogólne oburzenie, ale większość szczegółów była dla niego nowa. Zapytywał sam siebie, czy kiedykolwiek słyszał równie przerażającą historię. Jeżeli nawet, to nie potrafił sobie przypomnieć kiedy.

– Co za chory pojęb robi coś takiego dziecku? – rzucił.

Rozejrzał się dokoła, nie chcąc zaniepokoić osób siedzących

przy sąsiednich stolikach.

Chamberlain odczekała, aż znowu się do niej odwróci, i spojrzała mu prosto w oczy.

– Jeden taki, który dostał za to zapłatę.

– Co?

– Sądziliśmy, że to jakiś szajbus. Wszyscy tak uważali. Zarówno my, jak i grona pedagogiczne w szkołach, redakcje gazet, wszyscy się denerwowali i czekali, aż ten świr znowu zaatakuje. I nagle dowiadujemy się, że Jessica Clarke to była pomyłka.

– Co to znaczy „pomyłka”?

– Tego dnia na boisku obok niej stała niejaka Alison Kelly. Była jedną z przyjaciółek Jessiki. Ten sam wzrost i kolor włosów. Była przy tym córką Kevina Kelly’ego.

Spojrzała na Thorne’a, jakby oczekiwała z jego strony jakiejś reakcji. Na próżno. Pokręcił głową.

– Czy powinienem...?

– Pozwól, że nakreślę pokrótce, jak przedstawiały się sprawy w 1984.

Ty wtedy akurat...

Cofnął się w myślach do tamtego okresu.

– Właśnie miałem zakończyć służbę mundurową – odparł. – I ożenić się. Używałem życia na całego. Hulanki, zabawy w klubach i takie tam...

– Mieszkałeś w północnym Londynie, zgadza się? Thorne pokiwał głową.

– Całkiem możliwe, że kluby, do których chodziłeś, były własnością jednej z większych firm, a największą z nich kierowała rodzina Kellych. Były jeszcze inne konkurencyjne lokale na południu i we wschodniej części miasta oraz kilka niezależnych, które próbowały się przebić, jednak na północ od rzeki rządzą Kelly...

Kiedy Thorne jej słuchał, zorientował się, że w jej zwykłe

opanowanym głosem pojawiło się wahanie, a wraz z nim charakterystyczny akcent z rodzinnego Yorkshire. Słyszał go już wcześniej, kiedy była zagniewana albo podekscytowana. Kiedy coś ją wzburzyło. Gdyby już tego nie wiedział, pomyślałby, że coś nią nieelicho wstrząsnęło.

– Kelly mieli swoją siedzibę w Camden Town i w okolicach. Były jeszcze inne firmy, inne rodziny w Shepherd's Bush oraz Hackney i niemal stale dochodziło między nimi do utarczek, które wymagały rozjemców. Zdarzały się też strzelaniny – zazwyczaj kilka w roku – ale w sumie nie było nawet o czym wspominać. I nagle w 1983 ktoś próbował sprzątnąć Kevina Kelly'ego...

– Wystawiono na niego kontrakt?

– Owszem, ale z jakiegoś powodu nie udało się go załatwić. Tak czy owak, wiadomość, jaką ktoś chciał w ten sposób przekazać, nie została właściwie zrozumiana. Dlatego zajęto się jego córką...

– Ale jej też nie zdołali załatwić. Jezu.

– Tym razem Kelly zrozumiał aluzję. W ciągu trzech tygodni od wypadku Jessiki Clarke zginęło ze dwanaście osób. Trzech braci należących do jednej rodziny zastrzelono jednego wieczoru w pewnym pubie. Kevin Kelly bardziej lub mniej skutecznie wykosił konkurencję.

Thorne opróżnił filiżankę. Kawa wystygła na amen.

– A panu Kelly'emu i jego kumplom został do dyspozycji niemal cały północny Londyn...

– Jego kumplom owszem, ale nie Kelly'emu. Zupełnie jakby usiłowanie zabójstwa córki kompletnie go zdruzgotało. Gdy tylko pozbył się konkurencji, wycofał się z interesu. Zwinął żagle i już. Zabrał żonę i córkę, parę milionów i po prostu odszedł z interesu.

– To wydawało się całkiem rozsądnym posunięciem.

Chamberlain wzruszyła ramionami.

– Pięć lat później wyciągnął kopyta. Miał zaledwie pięćdziesiąt lat.

– A kto zajął się jego interesami, kiedy Kelly zamienił garnitur i trzewiki na gazetę, szlafrok, fajkę i miękkie kapcie?

– Pozostała branżą rodzinną tylko z nazwy. Kelly nie miał braci ani synów. Prowadzenie wszystkich spraw przekazał jednemu z kumpli, o których już mówiliśmy, wrednemu typowi nazwiskiem William Ryan. Był drugi w hierarchii, zaraz po Kellym i... – Chamberlain zamilkła na widok dziwnego wyrazu twarzy Thorne'a. – Co jest?

– Kiedy skończysz tę lekcję historii, postaram się udzielić ci możliwie najświeższych informacji, żebyś była na bieżąco.

– Dobrze. – Chamberlain odłożyła łyżeczkę do herbaty, którą bawiła się przez ostatnich dziesięć minut.

Thorne odsunął krzesło do tyłu.

– Idę po następną kawę. Coś dla ciebie?

Spotkali się w małej greckiej kafejce przy Victoria Station. Chamberlain przyjechała z Worthing pierwszym pociągami i zamierzała wrócić do domu możliwie jak najszybciej.

Stojąc przy ladzie i czekając na realizację zamówienia, Thorne odwrócił się, by na nią spojrzeć. Uznał, że trochę schudła. Wiedział, że w normalnych okolicznościach ucieszyłaby ją taka uwaga, ale sytuacja nie była normalna. Nie próbowała nawet zatuszować zmarszczek wokół oczu. Widać je było, kiedy uniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego. Wyglądała jak stara... przerażona kobieta.

Thorne przyniósł do stolika tacę z dwiema filiżankami kawy i baklawą. Zabrał się do pałaszowania i pomiędzy kolejnymi kęsami opowiedział Chamberlain o operacji grupy SO7. I o współczesnym obliczu północnolondyńskiej przestępczości zorganizowanej. Oraz o niezidentyfikowanym jak dotąd

wyzwaniu rzuconym potężnemu bossowi nazwiskiem Billy Ryan...

– Miło słyszeć, że Billy tak dobrze sobie radzi – rzekła Chamberlain.

Thorne'a ucieszył ten sarkazm i uśmiech. Właśnie taką Carol Chamberlain znał i lubił.

– Och, radzi sobie doskonale. I z całą pewnością Ryanowie prowadzą firmę rodzinną, na wszystkim trzymają łapę bracia i kuzyni oraz syn i dziedzic rodu, Stephen.

– Stephen. Pamiętam go. Musiał mieć jakieś pięć, sześć lat, kiedy to się stało...

– Teraz jest już dorosły. I skazany na sukces.

Chamberlain znów sięgnęła po łyżeczkę. Zaczęła stukać nią w otwartą dłoń.

– Billy poślubił później Alison Kelly.

– Córkę Kevina Kelly'ego? Tę, którą...?

– Skinęła głową.

– Tę, którą miał podpalić Gordon Rooker. Tę, którą pomylił z Jessicą Clarke. Ona i Billy Ryan pobrali się tuż przed śmiercią Kelly'ego, o ile dobrze pamiętam. Stary był szczęśliwy, ale ten związek nie należał do szczęśliwych. Ona była o wiele lat młodsza od męża. Miała zaledwie osiemnaście lat. A on po trzydziestce i miał już dziecko...

– Fakt. Nie wygląda to na idealną parę.

– Ich małżeństwo przetrwało rok czy dwa. Kiedy zaczęło się między nimi psuć, Billy wrócił do wywłoki, z którą miał Stephena. I gdy tylko dostał rozwód z Alison, zaraz znów się ożenił.

Thorne wskazał łyżeczką na ostatni kawałek baklawy.

– Nie masz ochoty...? Bo jak nie, to ja zjem...

Pokręciła głową, a on zaczął zajadać z apetytem.

– Opowiedz mi o Rookerze – powiedział.

– Nie ma wiele do opowiadania. Przyznał się.

– To zawsze pomaga.

Uśmiech już dawno znikł z jej ust.

– Serio, Tom, to była jedna z najprostszych spraw, jakie prowadziłam. Byłam inspektorem. Spisywałam jego zeznania.

– I co ci przyszło na myśl?

– Wszystko pasowało jak ulał. Rooker nie był człowiekiem znikąd. To, co zrobił w szkole tej dziewczynce, mogło wydawać się niezwykle, ale ten facet zrobiłby wszystko i każdemu, za odpowiednią cenę, ma się rozumieć.

Thorne spotkał w swoim życiu zbyt wielu takich ludzi. I stale ich przybywało.

– Powiedział, kto mu za to zapłacił?

– Nie podał nazwiska, ale nie musiał. Wiedzieliśmy, że wcześniej pracował dla paru mniejszych firm. Może nawet maczał palce w sfuszerowanym kontrakcie na Kevina Kelly’ego. Poza tym wiedzieliśmy, że Rooker lubił podpalać ludzi. Nie udało się tego udowodnić, ale brano go pod uwagę jako podejrzanego w związku z płatnym zabójstwem w 1982. Ktoś, przypuszczalnie Gordon Rooker, przywiązał szefa firmy zajmującej się ochroną do krzesła i wylał mu na włosy zawartość puszek z płynem do zapalniczek.

– Urzekający gość.

– Faktycznie był taki. A przynajmniej za takiego się uważał. Skurwiel flirtował ze mną w pokoju przesłuchań. – Przerwała i przełknęła ślinę, jakby usiłowała pozbyć się nieprzyjemnego smaku w ustach. – Jak już wspomniałam, to było proste. Rooker przyznał się do winy. Dostał dożywocie. I jak wczoraj sprawdziłam, wciąż siedzi w zakładzie karnym Park Royal.

Thorne wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

– Wciąż tam był trzy godziny temu, kiedy zadzwoniłem.

Uśmiech powrócił na chwilę, ale wydawał się ciut wymuszony.

– Dzięki, Tom.

– A co z Jessicą?

Chamberlain odwróciła wzrok od twarzy Thorne’a i wyjrzała przez witrynę kafejki na zewnątrz.

– Oparzenia były poważne. Minął rok, zanim mogła wrócić do szkoły.

– A teraz? Co się z nią...?

Pokręciła głową, jej głos brzmiał prawie jak szept.

– Chyba nie spodziewałeś się szczęśliwego zakończenia, prawda, Tom?

– Byłoby miło je usłyszeć – odrzekł po chwili. – Tak dla odmiany...

Odwróciła się do niego plecami i jej oblicze złagodniało, jakby mówiła do dziecka proszącego o coś, czego nie mogła mu dać.

– W szesnaste urodziny rzuciła się z dachu naziemnego parkingu...

Muslum Izzigil klął jak szewc od dobrych dziesięciu minut, kiedy do jego sklepiku weszło dwóch chłopaków.

Zajmował się całą stertą taśm, które zwrócono wczoraj wieczorem, a które należało przewinać. Ludzie, którzy zwracali nieprzewinięte kasety, byli złą złą jego życia. Wyjął taśmę z przewijarki, włożył do pudełka i sięgnął po następną.

– Leniwe łajzy...

Zerknął na dwóch chłopaków przetrząsających używane kasety na sprzedaż w skrzynce przy wejściu. Uniósł jedną z kaset i skrzywił się.

– Tak trudno przewinać? Co?

Jeden z chłopaków spojrzał tępo na Izzigila, drugi zaś szepnął coś i wybuchnął śmiechem. Izzigil po raz nie wiadomo który uruchomił przewijarkę i oparł się plecami o ladę. Spojrzał w górę na ekran, by przez parę chwil pooglądać perypetie Austina